

TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

N^o 38.

Poznań, dnia 18 Września 1869.

Rok. I.

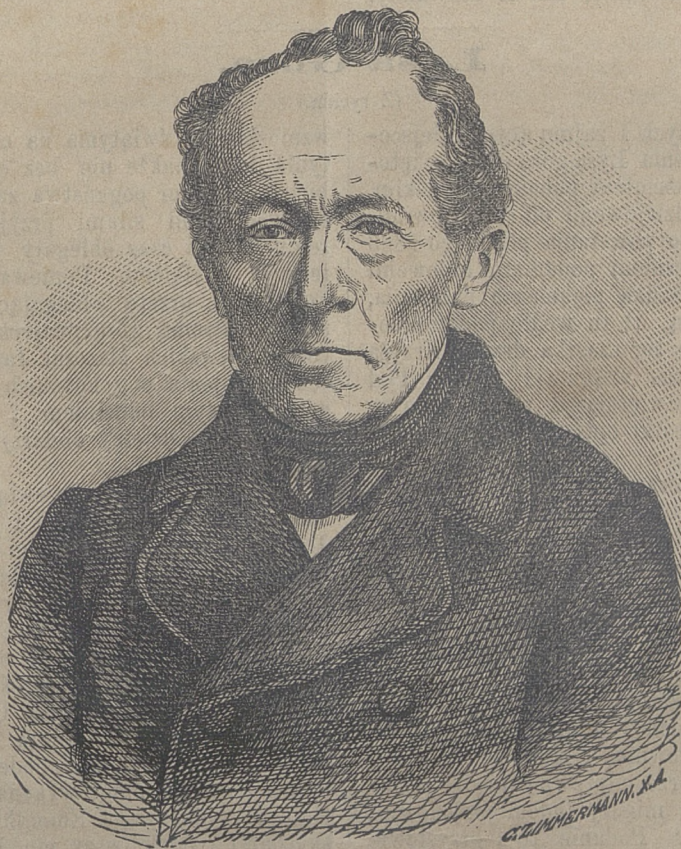
Profesor August Wannowski.

Dnia 11 b. m. pożegnał się z swymi kolegami i uczniami gimnazjum St. Maryi Magdaleny profesor August Wannowski, otrzymawszy na własne żądanie uwolnienie od służby publicznej, którą jak najkorzystniej dla kraju i jak najchlubniej dla siebie pełnił przez lat czterdzieści i pięć. Zasługi tego męża i powszechny szacunek, którym osobę jego publiczność polska otoczyła, wkładają na nas miły obowiązek zamieszczenia choć krótkiej o nim wzmianki i zachowania w piśmie naszym jego wizerunku ku trwałszej pamięci a szczeremu niewątpliwie zadowoleniu licznych jego uczniów i wielbicieli, rozrzuconych po całym Wielkiem Księstwie.

August Wannowski ur. się dnia 18 maja 1801 w Dąbrowie na Litwie, a choć w bardzo młodym wieku Litwę opuścił, nie zdołały jednak głównych właściwości Litwina, tak intonacji głosu, jako i pod duchowym względem wytrwałości, cierpliwości i głębokiego uczucia zatrzeć w nim ani wiek, ani długoletni pobyt wśród obcych. Ojciec jego, pochodzący z rodziny od dawnych czasów helweckiego wyznania, której członkowie teraz jeszcze na Litwie wyższe urzędy duchowne piastują, praktykując jako lekarz w Białymstoku, oddał

go nader wczesnie do wyższej szkoły, będącej w tym mieście pod kierunkiem rektora Maciejowskiego i pod wpływem zacnego i uczonego profesora Onacewicza. Ukończywszy tamże chlubnie nauki, udał się Wannowski na uniwersytet do Królewca, gdzie korzystając

z ze stypendium ufundowanego przez Radziwiłłów dla młodzieży polskiej helweckiego wyznania, kształcił się lat kilka w naukach filologicznych. Egzamin rządowy nauczycielski złożył roku 1824 i tegoż roku, dnia 1 sierpnia, rozpoczął praktykę nauczycielską w gimnazjum rastenburskiem, przy którym niemal cztery lata pracował. Na wielkanoc roku 1828 otrzymawszy stałą posadę nauczyciela klas wyższych przy gimnazjum Fredericianum w Królewcu, niedługo urzędował w tym mieście, albowiem powołany do Poznania następnego roku, już bez przerwy od St. Michała 1829 r., aż do 11 t. m. przez lat zatem czterdzieści zajmował się wykształceniem młodzieży naszej, z początku jako nauczyciel wyższy przy jedynym wówczas gimnazjum poznańskim, a później gdy zakład ten na St. Michał



Profesor August Wannowski.

1834 rozpołowionym został na gimnazjum katolickie St. Maryi Magdaleny i ewangelickie Fryderyka Wilhelma,

pozostał z tytułem profesora przy pierwszym. Przez cały niemal czas urzędowania swego udzielał profesor Wannowski wyłącznie najważniejsze w klasach wyższych przedmioty, język grecki i łaciński, a kończąc teraz trudny i mozolny swój zawód, kończy go wśród oznak powszechnej czci i wdzięczności i z tém drogocenném zadowoleniem, że tyloletnia ciężka jego praca daremną nie była, że zasiew jego bujne przyniósł krajowi plony. Mało kto bowiem znajdzie się w Wielkiem Księstwie z ludzi wykształceńszych, duchownych, urzędników, obywateli wiejskich i miejskich polskiego rodu, którzyby najlepszą częścią wykształcenia swego nie zawdzięczał profesorowi Wannowskiemu. Z rzetelném zamiłowaniem i szczerym zapalem oddany swemu przedmiotowi, upatrując w nim nie tylko najdzielniejszy środek ćwiczenia i doskonalenia umysłów młodocianych, ale i jeden z najszczytniejszych kierunków wiedzy ludzkiej, czerpał profesor Wannowski w tém przekonaniu ową niepożytą gorliwość nauczycielską, która w uczniach wzbudzała od razu poszanowanie i dla osoby jego i dla przedmiotu. Prócz tego głębokie uczucie sprawiedliwości, niedopuszczające żadnych nieuzasadnionych bądź niechęci, bądź względów dla pojedynczych, równa dla wszystkich życzliwość, słuszny zawsze i wedle winy lub zasługi wymiar nagany lub pochwały, nieposzlakowana i niczem niezachwiana zacność charakteru i czystość duszy, przedewszystkiem zaś wygórowana sumienność w pełnieniu obowiązków, czyniły profesora Wannowskiego wzorem nauczycieli i wywierały na umysły i serca młodzieży silne, trwałe i zbawienne wrażenie. Nie dziw zatem, że od lat czterdziestu, w trzeciem już niemal pokoleniu, zachowuje się u nas w rodzinach tradycya najszczerzego uznania i przywiązania dla męża, który większą część żywota swego strawił na tak żarliwój, wytrwałój i błogiej w swych skutkach pracy około najdroższego dobra narodu, t. j. przyszłości jego młodzieży. O ile stósunki miejscowe i nadmiar zatrudnień urzędowych, wynikający z przepelnienia klas, które w tym stopniu nie łatwo się znajdzie w innym zakładzie, na to zezwalały,

starał się profesor Wannowski przyczynić się do publicznego dobra w innych także kierunkach. Od roku 1831 aż do roku 1845 był redaktorem ówczesnej Gazety Wiel. Księstwa Poznańskiego, w czasach dla polskich przedsięwzięć prasowych najcięższych i najniewdzięczniejszych, kiedy nie tylko cenzura rządowa, ale i właściciel dziennika argusowóm strzegli okiem, żeby ponad pewien skromny poziom wybujać nie mógł. Towarzystwo Naukowej Pomocy, do którego Dyrekcji przez lat kilkanaście należał, znalazło w nim również wytrwałego i gorliwego pracownika, a każdy rozsądny i uczciwy pomysł, mający na celu tak dobro ogółu, jako i prywatne, nigdy do drzwi jego o pomoc daremnie nie kołatał. Chociaż przeciążony pracą obowiązkową, zdołał jeszcze profesor Wannowski chwile koniecznemu wy-poczynkowi odjęte poświęcić ulubionym studiom i nie-spuszczał z oka postępu nauk filologicznych, które własnymi badaniami na polu gramatyki i archeologii językowej wzbogacił, wydając, prócz licznych rozpraw w programatach, kilka uczonych dzieł w języku łacińskim, z których najważniejsze i przez filologów niemieckich szacownie cenione: *Syntaxis anomalae Graecorum pars*, Lipsk 1835 i *Antiquitates Romanorum graecae explicatae*. Królewiec 1843.

Król JMość, wynagradzając urzędowe zasługi profesora, ozdobił go przed trzema laty krzyżem orła czerwonego czwartej klasy, w roku zaś bieżącym orderem koronnym, a koledzy, dawniejsi uczniowie i przyjaciele zebrani w liczbie stu kilkudziesięciu dnia 16 t. m. na uroczysty obchód pożegnawszy go w sali Bazarowej, wyraziwszy w czułych przemowach Szanownemu profesorowi, który szkoły i miasto nasze opuszcza, uczucia swój czci i wdzięczności wręczyli mu przy tój sposobności dokument na stipendium imienia Augusta Wannowskiego dla filologów polskich w gimnazjum Maryi Magdaleny przysposobionych, przez nich ufundowane, aby pamięć zasłużonego Męża przechowała się w kraju naszym do najpóźniejszych pokoleń.

Lysa Góra.

(Z ryciną.)

Jedną z najwięcej sławnych i zajmujących miejscowości polskich jest bezwątpienia Lysa góra czyli Świętokrzyż. Góra ta, uwieńczona kościołem pobenedyktyńskim, sławna jest wspomnieniami dziejowemi od starostwian-skich czasów aż do ostatniego powstania polskiego 1863 roku, przytém strojna jest licznemi podaniami ludowemi i uposażona od przyrody rzadką pięknoscją położenia, a nadewszystko zaś pamiątną, iż tu wedle podań ludowych od wieków przechowuje się cząstka drzewa Krzyża świętego, na którym Chrystus zakończył życie. Pod każdym tedy względem jest Świętokrzyż uwagi godnym i dla tego podajemy dziś krótki opis i rycinę kościoła, na tój górze się wznoszącego.

Położoną jest Lysa góra, także Świętokrzyską zwana, w dawném województwie Sandomierskiem (dziś w gubernii Radomskiej, w Królestwie Polskiem), w powiecie Opoczyńskim, trzy mile od Kielec oddalona. U stóp tój góry leży miasto Słupia.

Już w starostwian-skich czasach góra ta słyęła, gdyż tu wznosiła się świątynia pogańska na cześć bożyszczu Lelum Polelum. Znać w tych starożytnych czasach znaną była Lysa góra szeroko i daleko, gdy dotąd nawet lud polski w pieśniach i powieściach ją sławi, mniemając, że tu latają czarownice i cioty na miotłach i łopatach, aby na Łysój górze odprawiać nocne pohulanki. Jest dotąd używane między ludem przysłowie: „Czarownica z Łysój góry.“ Podanie to i przysłowie sięgają niewątpliwie czasów starostwian-skich.

Skoro tylko chrześcijaństwo do ziem polskich zawitało, wnet na Łysój górze zamiast bałwochwalni

wzniosła się świątynia na cześć prawego Boga. Świątynia ta jednakże nie bez oporu zniesioną była, wielbiciele bowiem pogaństwa zamknęli się tutaj, opierając się wszelkiemi siłami przyjęciu nauki Chrystusa. Daremnie długi czas oblegały bałwochalców wojska Bolesława Wielkiego. Ponieważ nie znano jeszcze wtedy kucia koni, przeto oblegający rycerze nie mogli pod śliską i stromą górę podjechać. Jeden atoli z dowódców królewskich Mszczuj Jastrzębiec, wymyśliwszy sposób uzbrojenia nóg końskich w podkowy, podjechał na górę ze swym oddziałem i bałwochalców rozgromił. Za ten czyn dzielny obdarzył go król Bolesław Wielki herbem Podkowy.

Tenże Bolesław, krzewiący gorliwie chrześcijaństwo, złożył tu r. 1006 kościół i klasztor ks. Benedyktyńców. Jest tedy Lysa góra jednem z najstarszych ognisk cywilizacyjnych dla ziem polskich. Za czasów też Bolesława W. miał uzyskać klasztor skarb, droższy nad wszystkie klejnoty, t. j. cząstkę z drzewa Krzyża świętego. Starożytnie kroniki opisują w następujący sposób nabycie tój świętej relikwii: „Gdy św. Wojciech podjął koronę męczeńską a ciało jego do Gniezna przeniesiono, zapragnął Stefan, król węgierski, odwiedzić zwłoki świętego męża. Gdy atoli dla podeszłego wieku i choroby zamiaru tego nie mógł wykonać, wysłał zamiast siebie do Gniezna syna swego Emeryka, obdarzywszy go licznemi skarbami i udzieliwszy mu dla szczęśliwego tój dalekiej podróży odbycia drzewo Krzyża Zbawiciela. Dostał tę świętą relikwię Stefan od papieża Benedykta. Przybył król Emeryk z wielkim zworem do Gniezna, przy-

jęty mile od Bolesława Wielkiego. Złożywszy ofiary u grobu św. Wojciecha i poleciwszy ojca modłom tego Świętego, wracał Emeryk do Węgier. Król Bolesław odprowadził go aż do miasta Kielec, gdzie się spólnie zabawiali łowami. I stało się raz z Bożego zrządzenia, że Emeryk odłączywszy się od orszaku myśliwskiego, ścigał potężnego jelenia. Przy tém ściganiu zabląkał się królewicz, a koń jego nie chciał ani naprzód, ani w tył postąpić. Zatrwożył się wielce Emeryk i zaczął wzywać pomocy Bożej. W tém ukazał się mu anioł, w te doń odzywając się słowa: Nie lękaj się młodzieńcze! jeżeli uczynisz ślub, że zostawisz w tém miejscu to, co masz przy sobie najdroższego, wyjdiesz z tej kniei. Pobożny Emeryk nosił skarb swój przy sobie, był to szczętek z drzewa Krzyża św. Ślubował nitychmiast złożyć skarb ten w tém miejscu, a wnet wydoostał się z dzikiej puszczy. Znalazłszy Bolesława, opowiedział mu swój ślub. Udali się zaraz obydwaj na drugi dzień do klasztoru na Łyszej górze. Bawiący przy dworze królewskim biskup krakowski Lambert, odebrawszy relikwię z rąk Emeryka, niósł ją w uroczystej procesyi. Opat onego miejsca zabiegał z wszystką braćią aż pod górę, gdzie dziś stoi kaplica Wszystkich Świętych, a wzięwszy relikwię z rąk biskupa, zaniósł ją do swego kościoła, który odtąd zaczęto Świętokrzyskim nazywać. Tak sobie tłumaczy pobożny kronikarz podanie krążące między ludem o drzewie Krzyża św. w klasztorze na Łyszej górze.

Tak Bolesław Wielki, jak i najpóźniejszy polscy monarchowie i magnaci czynili klasztorowi hojne zapisy, dla tego też opactwo świętokrzyskie było w XIII wieku w Polsce najbogatszym. Tam przechowywali okoliczni obywatele podczas wojen swoje kosztowności. Dowiedziawszy się o tém Tatarzy, napadli roku 1260 na klasztor, a wymordowawszy zakonników, zburzyli kościół i zabudowania klasztorne. Bolesław Wstydlivy sprrowadził na nowo Benedyktynów. Późniejsi królowie potwierdzali przywileje opactwa, a Kazimierz Wielki darował zakonowi wiele złotych i srebrnych naczyń.

R. 1370, po zgonie Kazimierza, nowa się kłęsa na klasztor świętokrzyski zwała. Litwini pod dowództwem Lubarta i Kiejstuta, zapuściwszy swe zagony aż w ziemię sandomierską, nie przepuścili i klasztorowi tyso-górskiemu. Pozabierali nietylko wszystkie kosztowności, ale i drzewo Krzyża świętego. Kiedy Litwini przybyli, opisuje znowu jeden z pobożnych kronikarzy, do granic swego kraju, wtedy wóz, na którym się święta relikwia znajdowała, żadną miarą z miejsca poruszyć się nie chciał. Zatrwożyli się łupieżcy Litwini, nie wiedząc, coby tego było przyczyną. Dopiero He-

lena Habdank, w niewole przez litewskiego wojownika Dowojnę zabrana, objaśniła, że drzewo z Krzyża jest przyczyną tego cudu. Zaraz Litwini odesłali relikwię świętą przez Dowojnę, a ten przyjąwszy chrzest św., pojął w małżeństwo Helenę.

Odtąd rozszerzyła się sława kościoła świętokrzyskiego na całą Polskę. Zewsząd przybywały tłumne pielgrzymki, a wszyscy też prawie polscy królowie do Świętokrzyża pielgrzymowali. Tu r. 1410 odprawił od miasteczka Słupi pieszo pielgrzymkę Władysław Jagiełło, a wysłuchawszy krzyżem mszy św. i modląc się dzień cały, błagał Boga o zwycięstwo nad Krzyżakami, przeciw którym z wojskiem w pole ciągnął. Odniośszy świetne zwycięstwo pod Grunwaldem przybył tu raz wtóry, aby podziękować Bogu za doznaną łaskę. Nie omieszkał też złożyć klasztorowi licznych a bogatych darów. Tak samo syn jego Kazimierz Jagiellończyk przed wyprawą na Krzyżaki w Świętokrzyżu o zwycięstwo błagał. Za tego króla klasztor dwa razy pogorzał, szczerobliwością atoli króla, Zbigniewa Oleśnickiego i pokutującego w lasach świętokrzyskich Jazłowieckiego, na nowo został z gruzów wzniesiony. Zygmunt III po zwycięstwie pod Guzowem r. 1607, składał w Świętokrzyżu dzięki, a później nadesłał jako wotum trzy srebrne posągi, które sam wykonał. Synowie jego Władysław IV i Jan Kazimierz także to miejsce zwiedzali. W latach 1656 i 1704 Szwedzi napadali Łysą górę, ale skarbów nie mogli zrabować, gdyż zakonnicy starannie je ukryli.

R. 1777 nawiedziła straszna kłęsa klasztor świętokrzyski, gdyż dnia 26 października wybuchnął straszliwy pożar, który tak szybko kościół i zabudowania ogarnął, że zakonnicy ledwie mieli czas wyratować relikwię Krzyża świętego i bibliotekę. Zajął się wtedy odbudowaniem kościoła i klasztoru ks. Niegolewski, ostatni opat świętokrzyski. Zaczyn ten mąż r. 1834, licząc lat 90, życia dokonał. R. 1806 została nakoniec budowa ukończoną, a przy udziale 24,000 pobożnych pątników, dokonał poświęcenia Andrzej Gawroński, biskup krakowski. Nie jest tedy kościół świętokrzyski dziełem dawnych czasów, a mało też dochowało się starożytnych pamiątek. Liczne pożary, napady nieprzyjaciół i wilgoć pół roku trwająca, wszystkie pamiątki niszczyły. Ubolewać nad tém wypadem, gdyż tu przechowywały się najstarożytniejsze dokumenta, do polskiej historii się odnoszące.

W dzisiejszym kształcie posiada świątynia dwie szczytowe ściany z cegły i wyniosłą wieżę środkową z ciosu wzniesioną. Kaplica w której drzewo Krzyża św. się znajduje, pochodzi z r. 1604, gdyż podczas pożaru ocalała. (Dok. n.)

W Kaplicy.

W marmurowej katedrze o zmroku
Cisza była grobowa i głucha,
W mgły wieczornej wydatnym obłoku
Tylko stare posągi bez ducha
Olbrzymieją i rosną wspaniale,
Mumie wieków, zastygłe i białe.

Cień wieczora niepewny i drżący
W dziwnych kształtach się snuje śród nawy,
Może kraju rycersey obrońcy,
Może dumni prałaci ze sławy
Z cichych grobów podziemnych powstałi
I jak dawniej znów tu się zebrali.

W jednej z kaplic na łożu z granitu
Snem kamiennym spał rycerz skrzydlaty,
Snem bez jutra, bez marzeń, bez świtu,
Tylko myśli, co kiedyś przed laty
Lawą w duszy rycerza kipiwały,
W marmurowém się licu zebrały.

Jedna zmarszczka to czoło wyniosłe
Bruzdą troski głęboko rozryła,
Znać jak ciernie w Chrystusa skroń wrosłe,
Jedna myśl się uparcie w mózg wpiła.

Ale święty był snąc ten ból cichy
Próżen buty lat dawnych i pychy.

Zimną ręką swą krzywą szablęcą,
Zgasły piorun, do piersi przyciska,
A miłością męczeńską mu lice
Rozgorzało, że zeń jak z ogniska
Światło bije z pod ciężkich snem powiek:
Kochał, cierpiał za życia ten człowiek.

U stóp białej postaci kamiennej
Kłęczał młodzian w marzeniach bez wątki,
Równie błady, bez ruchu i sunny,
Jak ten posąg, przeszłości pamiątka,
Skróń o marmur opiera palącą,
Zmrok draperyą owiewa go drżącą.

Któż się modlił tak późną godziną
U posągu śpiącego rycerza,
I nie baczy, że chwile wciąż płyną,
Noc opony żalobne rozszerza
Na złoczone katedry ołtarze
I na Świętych promienne w nich twarze?

To nie prawnik rycerza z kamienia,
Bo ten między możnymi żył pany,

A młodzieniec, jak widać z odzienia,
Ciężkiej pracy chleb znajem obłany
W walce życia zdobywa wytrwale,
Jako rólник, siejący na skale.

Jednak twarze obudwóch podobne,
Jak dwa białe lili kielichy,
Usta jednym uśmiechem ozdobne,
Co smutniejszy, niż strumień łez cichy,
Jednej woli na czole potęga,
Jedna miłość snąc dusze ich sprzęga.

I młodzieniec wciąż kłęczy w ciemności,
Posąg objął milczący w ramiona;
Dwa ogniwa łańcucha ludzkości,
Przeszłość, przyszłość uściskiem złączona,
I złączone to, co wrogie było,
Rodu zacność z pracy dzielną siłą.

A zbląkany promyczek księżycy
Srebrnym pasmem się płącze dokoła,
Jak myśl szybka rozjaśnia dwa lica
Aureolą otacza dwa czoła,
I spowija sznurami z promienia
Młode życie — z wiekami wspomnienia!

Warszawa.

M. J.



Klasztor świętokrzyski.

Wycieczki po niebie*)

przez

Dr. Daniela Wierzbickiego.

O Meteorach.

„Któż zbada, co przed nami daleko i głęboko jest ukrytém?” zapytał potężny książę starożytności, mędrzec Salomon, królowej, która z dalekich krajów południa zwabiona sławą jego mądrości, w gościnę doń przybyła. Podówczas nie znał jeszcze człowiek własnych sił swoich, ponieważ ich nie ćwiczył i nie zaprawiał ku temu, by naturę i nadmysłowość z powagą i uszanowaniem badać i śledzić. Zwolna i powoli rozwijał się jego rozum przez myślenie, a dla rozszerzenia jego wiadomości przynosili uczeni coraz większe w daninie ofiary. Każdy wiek przynosił swoje owoce, które następny mógł spczytkować. To też bardzo wielu popoprowadziło nas na drodze prawdy i poznawania; zebrali oni skarb wiadomości wielki i nieoszacowany, który nam jako najpiękniejszy posąg ojców naszych przypadł w udziale, i który my jako owoc tysiąca lat długiego i niezmordowanego badania czcimy i szanować umiemy. Żyjemy w stuleciu, gdzie człowiek więcej niż pierw rozwinął siły swego ducha, gdzie nowe umiejętności powstały, a inne z dzieciństwa do sił męzkich i doskonałości dorosły. Stoimy dziś na stopniu wiadomości i nauki, którego wysokości dopiąć nawet dla największego mędrca starożytności próżnym marzeniem być się zdawało. Mimo atoli tych wszystkich postępów czujemy dziś więcej, niż kiedy tłoczące się do myśli naszej to samo pytanie, które wówczas w przekonaniu ludzkiej nieudolności powstało w duszy króla mędrca. Zaiste dziwne to zjawisko, a tak pełne znaczenia dla poznania siebie samego, a tak zdolne do doprowadzenia nas do źródła prawdy i korzenia się przed Stwórcą naszym. Im bowiem człowiek w badaniu natury dalej postępował, tém obszerniej jego wzrokowi odsłaniał się obszar tego, co dla jego żądz wiedzy było niedostępnem. Każdy krok odkrywał mu nowe niezbadane dotąd tajemnice i cuda, o których istnieniu pierwej ani mógł marzyć; za każdym powiększeniem się jego wiedzy, powiększało się zarazem niezmierzone pole badania, nad którym zawiadnąć swym rozumem próżno się silił. Coraz jaśniej i wyraźniej rozwijało się niezmierzone bogactwo przyrody i nieskończoność stworzenia przed jego oczyma, a im dalej granice jego rozumu sięgać począł, tém ciaśniejsze one być się zdawały w porównaniu z tém, co jeszcze wiedzieć i poznać pozostawało.

Badanie natury dało dowód szlachetności naszego ducha i jego boskiego początku. Ono podniosło nasz szacunek dla nas samych, ono nam pokazało, do czego zdolni jesteśmy i jaki stopień rozwinięcia jest dla nas dostępnym; ale ono także coraz wyraźniej i silniej napełnia nas poczuciem naszej nicości i naszej słabości w porównaniu z Tym, który nad wszystkiem, co przed naszym okiem się roztacza, jako Pan i Stwórca panuje. Nauki przyrodnicze, tak ważne dla ziemskiego bytu i dobra człowieka, są także najsilniejszym bodźcem dla jego moralnego wykształcenia, a żadnej z ich gałęzi nie mamy do zawdzięczenia tyle, co astronomii. Ona to wyświadczyła człowiekowi ważne w żegludze przysługi, ona najwięcej przyczyniła się do uszlachetnie-

nia jego ducha i jego serca, ona jako najpiękniejsze i najwznioślejsze dzieło jego ducha, dała żyjący dowód jego ludzkiej godności, a zarazem siłom jego tu i owdzie kładąc zapory, chroniła go od próżności i dumy. Ona w poczuciu naszej słabości, rozwesela nas myślą, jakto duch ludzki w głębie i dale przeniknąć potrafił, właśnie tam, gdzie potęga i majestat boski z uszanowaniem nakazującą wspaniałością, jak nigdzie więcej, się objawiają.

I pięknie powiedział nasz bard ociemniały:

Kiedy z dniem każdym coraz więcej chłodnie,
Gdy świat zasępią te jesienne słoty,
Niebo gwiazdziste wystraja się cudnie
I świetne gwiazdy idą w kolowroty,
I mleczna znowu wyiskrza się droga,
I pierwsze gwiazdy idą znów na czasy,
Niebo jesienne staje pełne krasy,
I po tych gwiazdach trafia człek do Boga!
Bo jedne gwiazdy patrzą na nas łzawo,
Jakby się czegoś nad ziemią żaliły,
Inne mrugają ku nam błękitnawo,
A inne jeszcze, stojąc pełne siły,
Błyszczą rubinem i patrząc jaskrawo.
Z jednymi tedy wolno się pożalić,
Z drugimi kochać aniołów miłością,
Z trzecimi pałac serca gorącością,
Z wszystkimi razem Stwórcę Pana chwalić.

A w innym miejscu mówi:

Więć żyj w świadectwie i świadectwo dawaj,
I pod gwiazdami jak w swym domu stawaj,
Znaj gwiazdzistego nieba starą kartę
I stróża-gwiazdę i stróża-anioła!
Bo życie nasze o tyle tu warte,
O ile z niebem człek je związać zdola.

Już narody starożytne zwróciły na to swoją uwagę, że niekiedy masy kamienne w połączeniu z zjawiskami ognistymi spadają na ziemię. Rzymianie i Grecy wspominają o takich kamieniach, wspominają o nich starzy dziejopisarze chińscy, zaś w wiekach średniowiecznych mówią o takich zjawiskach pisarze arabscy, zwłaszcza kronikarze i wiadomości o nich podawane ciągną się aż do przeszłego stulecia. Dopiero w stuleciu przeszłym, gdy ślepą wiarę czasów dawniejszych zastąpiło niedowiarstwo nie tylko w rzeczach religijnych ale i naukowych, zaczęli uczeni zaprzeczać temu faktowi, ponieważ go wyjaśnić nie umieli; a nawet co więcej, kamienie takie, które w dość znacznej liczbie po zbiorach publicznych przechowywano, zaczęto niszczyć i rozrzucać, ponieważ wskutek ich przechowywania obawiano się wystawiać na pośmiewisko. W roku 1790 przytrafił się wielki deszcz kamienny we Francji w departamencie Landów; ogromna kula ognista z wielkim hukiem pękła w powietrzu i rozruciła masę kamieni, z których niektóre do 20 funtów ważyły. Muncypalność Juillac potwierdziła i ogłosiła urzędownie to zjawisko, ale przeciwko temu powstał sławny uczonej francuzki, imieniem Bertholon. W jednym bowiem podówczas wychodzącym naukowym czasopiśmie użala on się, że urząd muncypalny przez swe świadectwo wspiera głupotę ludzi, nad którą nie tylko badacz przyrody, ale nawet każdy rozumny człowiek litować się musi, i że fakt ten jako zupełnie fałszywy i czysto nie możliwy uważać należy.

W roku 1797 sławny naturalista niemiecki Chladni odważył się podjąć na seryo pod rozwagę ściśle naukową wszystkie dotąd wzgardzone i wysmiane wiadomości o meteorach, jako też skierować uwagę badaczy natury na to już tylu świadectwami poparte zjawisko i udało mu się rzeczywiście zebrać tak przekonujące o tém dowody, że od czasu ogłoszenia jego o tym

*) Pod tym tytułem odebraliśmy kilka artykułów popularnie napisanych o rozmaitych zjawiskach niebieskich od pana Dr. Wierzbickiego, docenta przy uniwersytecie Jagiellońskim, które, jak sobie tuszymy, zainteresują Szanownych Czytelników Sobotki, ile że przy dzisiejszym rozwoju oświaty jest niezbędną jaka taka znajomość nauk przyrodniczych, które u nas są prawie zupełnie zaniedbane, bodaj nie lekceważone. Szanownemu Autorowi, który z tak szlachetną gotowością przyobiecał i nadal popierać nasze piśmo swém współpracownictwem, wynurzamy tu na tém miejscu szczerą wdzięczność.
Od Redakcyi.

przedmiocie rozprawy w roku 1794 żaden z uczonych niemieckich o rzeczywistości spadania kamieni nie wątpił, do czego jeszcze przyczynił się spady właśnie podówczas tj. w roku 1795 w Sienie wielki deszcz kamienny.

Ale nie tak rzeczy stały we Francji. Mimo powagi i prac Chladniego na tém polu wysmiewano go, a nawet za heretyka ogłoszono, bo deszcze kamienne uważano ciągle jako baśnie i fałszy. Na posiedzeniu akademii paryzkiej jeden ze sławnych jój członków Biot zaczął czytać rozprawę o tym przedmiocie, lecz musiał tego zaniechać wskutek szmeru i mrużenia słuchaczy, jako też wskutek wezwania prezesa, który oświadczył, że jest to ujmą dla umiejętności podobnemi baśniami się zajmować. Biot pracę więc swoją oparł na poszukiwaniach uczonych niemieckich musiał schować do kieszeni i to na lat kilka. Atoli w roku 1803 w pobliżu miasteczka Aigle w Normandji powtórzyło się to zjawisko. Tysiące ludzi niepodejrzanych, nieprzesądnych i wykształconych widzieli je i sądownie jednomyślnie zeznali, że dnia 26 kwietnia przy pogodnym niebie zaczęło się nagle błyskać, straszliwie grzmieć, poczem powstała nad miastem mała chmurka, z której ogromna kula ognista wyleciała i w biegu swoim pozostawiając za sobą długi czerwony ogon, rozpękła się nareszcie i parę tysięcy kamieni rozrzuciła. Aczkolwiek teraz trudno było temu nie wierzyć, co tylu ludzi oczyma swemi widziało, to przecież gazeta paryzka litowała się nad gminą miasteczka, że ma mera, który w takie baśnie wierzy i czas na ściąganiu podobnych świadectw marnuje. Akademia zaś w kłopotach, że do niej należy wytłumaczenie zjawiska, pocieszała się nadzieją udowodnienia, że cała ta historia jest przesadzona i fałszywą i w tym celu wysłała kilku swoich członków, a między nimi Biota, na miejsce zaszłego zjawiska, aby rzecz dokładnie tamże zbadali. Ale rzeczywiście rzecz się miała tak, jak o niej donoszono; na wielkiej przestrzeni eliptycznej znaleziono kilka tysięcy jednego i tego samego gatunku kamieni, o czém Biot po powrocie zrobił obszernie sprawozdanie. Wiele kamieni, które on z sobą także prawióżył, zostało rozdanych chemikom do rozbioru, i okazało się, że kamienie te podobne są w swoim składzie chemicznym do innych już dawniej rozbieranych, ale że tak te ostatnie jak i dawniej spadły różnią się od wszystkich znanych gatunków kamieni na ziemi lub w ziemi znajdujących. Teraz dopiero spadanie kamieni zyskało sobie wreszcie prawo obywatelstwa we Francji, a dzisiaj już należy w całym świecie do zjawisk natury żadnej wątpliwości niepodlegających.

Od roku 1804 do 1822 było we Francji 9 takich deszczów kamiennych, zaś w Anglii, Niemczech, Rosji i Włoszech było ich w tymże czasie 57, a wszystkie różnią się między sobą tylko ilością i wielkością spadłych kamieni, nigdy zaś co do zewnętrznego lub wewnętrznego ich ustroju.

Aczkolwiek wielu z naszych czytelników widziało ukazanie się meteoru w roku 1868 dnia 30 stycznia, opiszemy go jednak tutaj w krótkości podług raportu, który Szkoła Główna Warszawska do akademii zagranicznych przesała.

Dnia i roku powyżej rzeczzonego przy pogodnym niebie na stronie południowej i kilku tylko chmurach na północy-wschodzie, kula ognista wielkiego blasku przeciągnęła nad poziomem Warszawy, zaś w odległości 22 wiorst ku stronie północno-zachodniej oderwała się od niej wielka liczba kamieni, które rozsypały się pod Pułtuskim, najgęściej we wsi ch od Gostkowa do Sielca. W Warszawie ujrano ten meteor na stronie południowo-wschodniej blisko konstelacyi Andromedy na niebie. Kula ta ognista błyszczała z początku jak gwiazda pierwszej wielkości, a jój średnica rosnąc coraz bardziej, urosła aż do wielkości dwóch trzecich części średnicy tarczy księżycowej, ciągnąc za sobą długi warkocz białawy. Światło jój z początku było podobne do światła gwiazd spadających, ale w miarę jak średnica tej kuli ognistej rosła, światło jój przybierało kolor z początku zielono-błękitnawy, a potem czerwona.

Zjawisko to widzianem było w Warszawie, Gdańsku, Poznaniu, Krakowie, Pradze czeskiej, w Wiedniu, Kownie i Grodnie. Podług dostrzeżeń w Warszawie a głównie w Gdańsku i Wrocławiu można bardzo prawdopodobnie wnioskować, że punkt, w którym meteor ten wszedł w atmosferę, wyniesionym był $23\frac{1}{2}$ mil geograficznych nad poziomem i zgasł w okolicy Pułtaska nad wsią Gostkowem w wysokości nad poziomem $2\frac{1}{2}$ mil. Chyżość biegu tego meteoru wynosiła w jednej sekundzie $6\frac{3}{5}$ mil. Największy z kamieni, których narachowano 400, spadł blisko wsi Mrozy; ważył on 7 kilogramów czyli około 17 funtów naszych. Rozbiór chemiczny wykrył najwięcej części magnetycznych i krzemionowych rozpuszczalnych lub nierozpuszczalnych w kwasie solnym. Oprócz tego przekonano się, że spadły kamień w Sielcu podniesiony po 10 minutach był już zupełnie zimny, że w eksplozyi mieszkańcy Pułtaska i jego okolic rozróżniali ściśle dwa ustępy, to jest eksplozyę podobną do dwóch grzmotów silnych i drugą jakby od rotowego strzału pochodzącą.

(Dokończenie nastąpi)

O stowarzyszeniu włoskiem „Komorra“ zwanem.

Od lat kilkunastu zwracało silnie na siebie ogólną uwagę zorganizowane i szeroko po całym półwyspie włoskim rozgałęzione tajne stowarzyszenie, Kamorra zwane. Kamorra składa się z oszustów, mścicieli, szpiegów, złodziei, przemytników, fałszerzy i zbójców. Piękne zaprawdę towarzystwo! tém straszne, że jak najwyborniej zorganizowane w celu wyzyskiwania wszystkich, do tego towarzystwa nienależących, mianowicie ludzi mniej oświeconych, biedniejszych a bojaźliwych. Stowarzyszenie to zorganizowane na podstawie sławnej zasady: jeden za wszystkich, wszyscy za jednego, urosło prędko w liczbę i rozszerzyło się po całym Włoszech. Złożone z samych złoczyńców śmiałych i przebiegłych, pomiędzy którymi są ludzie różnego stanu, mienia i wykształcenia, miało i dotąd jeszcze ma główne siedlisko w Neapolitańskim i na wyspie Sycylii, ponieważ okoliczności miejscowe najbardziej sprzyjały jego bezpieczeństwu i rozwojowi. Ztamtąd, szukając szerszego pola działania i nowych kryjówek, gnieździło się po okolicach górzystych Włoch środkowych, a w ostatnich

latach, silnie rozbijane przez nowy rząd włoski, rozproszyło się po całym półwyspie, między innymi po górach albańskich i po Kampanii Rzym otaczającej, z kądem i do samej stolicy chrześcijańskiego świata często się wciśka. Związki tego towarzystwa rozciągały się nie tylko po pograniczach krajów z Włochami sąsiadujących, ale na cały Archipelag grecki, wybrzeża Anatolii, aż do samego Carogrodu, o czém się dowiedziano dopiero przed kilkoma laty, z zeznań licznej bandy kamorzystów przed sądem przysięgłych w Bolonii, który się mocno dał we znaki temu lotrowskiemu stowarzyszeniu i znacznie je osłabił.

Dokładne poznanie organizacyi i składu kamorry, a wskutek tego zniweczenie jój było i jest jeszcze dotąd niezmiernie trudnym, ponieważ jój członkowie nie mieli nigdy ustaw pisanych, nie znali najwyższych kierowników swoich, ani głównych przywódców, rozkazy zwykle przez kilku pośredników z ust do ust przesyłane wypełniali bez pytania, z kądem wyszły, zresztą jak najściślej umieli zachowywać tajemnicę.

Tajemniczość ta wyborne całemu związkowi odda-

wała przysługi, nie tylko w obec rządu i jego organów porządku i bezpieczeństwa publicznego, ale i w obec publiczności samą. Rząd nie mógł nigdy pochwycić całego wątku organizacji, ani się dowiedzieć z ilu złoźczyńcami ma do czynienia; publiczność zaś wyrabiała sobie coraz potworniejsze wyobrażenia o potędze i słaździe kamorry, przypuszczając bowiem że do niej należą bardzo wysoko stojące i bogate osoby tak rządowe jak cywilne, szerzyła tym sposobem tylko postrach między sobą, a postrach ten był dla kamorzystów wyborań zbroją i bronią zarazem. Korzystając z takiego usposobienia publiczności, wyzyskiwali ją tēm zuchwałej a bezpieczniejszej, co zaś najważniejszą, uczynili ją mimo-wolną sojusznicą swoją przeciw rządowi, ponieważ nikt z ludu pospolitego nie ośmielił się, choć mógł, wyda-wać kamorzystów w ręce sprawiedliwości, mając przekonanie, że straszenie za to zostanie ukaranym, jakoż bywały tego liczne przykłady utwierdzające zestrachaną publiczność w owém przekonaniu. Za oddane zaś kamorzystom usługi bywali ci i owi wynagradzani, a przy-najmniej uzyskiwali raz na zawsze bezpieczeństwo od ich gwałtów. Bojaźliwi wieśniacy włoscy, mianowicie na południu półwyspu, a przytēm zabobonni, chciwi i ciemni, dotąd są ślepo posłuszni kamorzystom. Oni ich przechowują, oni im dostarczają żywności, broni i amunicji, zgła wszystkiego; służą im za szpiegów i przewodników i przestrzegają ich w razie niebezpieczeństwa, a jeśli przychodzi w ich przytomności do walki z policją lub wojskiem, nie stają prawie nigdy ku pomocy organom rządowym, owszēm najchętniej dopomagają kamorzystom, woląc narazić się na karę policyjną, niż na zemstę kamorry niechybną a ciężką.

Oprócz takiego usposobienia ludu sprzyjały kamorzystom do ostatnich paru lat jeszcze i inne okoliczności, mianowicie pod rządem neapolitańskim. Niesłychany nieład, wielka liczba sprzedanych urzędników, lazzaroni dostarczający zawsze rekrutów na złodziei i zbrojców, brak zupełny oświaty i moralności w całym państwie, używanie łotrów do rozmaitych posług rządowych mianowicie w policji, albo do usług prywatnych przez osoby wyższego znaczenia i wpływu; wszystko to obracali kamorzyści na swoją korzyść, weiskali się nawet na niższe urzędy, nie porzucając bynajmniej dawniejszego rzemiosła, nie dziw więc, że w taką urosła potęgę i liczbę, iż nie raz śmiało stawiali czoło władzom rządowym i krwawe stacali potyczki z policją i oddziałami wojska, zwykle zwyciężkie, bo lud był po ich stronie. Dla tego tēż słusznie kamorrę nazwać można stowarzyszeniem ludu włoskiego przeciw rządowi. Smutny ten stan wyjaśnia poniekąd trudności, z jakimi dzisiejszy rząd włoski ma do walczenia.

Więzienia kryminalne i galery zapełniali po większej części kamorzyści, mianowicie w Neapolitańskim a dzisiaj zapełniają je w całych Włoszech. Do niedawna jeszcze służyły im te przymusowe mieszkania do lepszego organizowania się. Tam się poznawali, tam sobie udzielali nauk doświadczeniem nabytych, tam knowali spiski, ztamtąd komunikowali się z towarzyszami niewięzionymi, którzy ich przedewszystkiem zaopatrywali w pieniądze i noże. Te mając, urządzali się w więzieniu dowolnie. Pieniędźmi kupowali sobie sprzedanych dozorców i strażników, którzy im sami dostarczali winę, kart, kości do grania, lepszej strawy, materyałów piśmiennych, chociaż rzadko który z więźniów umiał pisać; wreszcie ułatwiali stósunki z zostającymi na wolnej stopie kamorzystami. Na dozorców zaś sumiennie wypełniających swoje obowiązki, używali groźb, różnych gwałtów, a często i nożów. W więzieniu doskonalili się w rzemiosle łotrówkim teoretycznie, a wyszedłszy na wolność, byli tēm śmielsi, że poznali doskonale organizację i przynajmniej jedną część siły towarzystwa, do którego należeli.

Kamorra miała po wszystkich więzieniach swoich

naczelników, którzy wszystkiēm zarządzali. Żaden z więźniów nie śmiał się przedsiębrać na swoją rękę, bez ich pozwolenia. Taki naczelnik rozporządzał mieniem i życiem uwięzionych, którzy zwykle zbrodniarze pospolici, bez żadnego wykształcenia ślepymi byli wykonawcami jego woli, sami nawet współtowarzyszom swoim wymierzali kary przez naczelnika oznaczone, nieraz bardzo surowe, jako to: morzenie głodem, kije, poranienie i przebiecie na śmierć. Jeśli zaś który popełnił przestępstwo przy wyjściu z więzienia, zabrawszy np. towarzyszowi jaką rzecz albo pieniądze, lub tēż wygadał coś drugich kompromitującego, żeby sobie okupić wolność, ten niezawodnie odebrał stósowną karę od kamorzystów, których z więzienia zawiadomiano o wszystkiēm. Zdradę tajemnic związku lub wydanie popełnionych przez któregoś członków zbrodni w obec sądu, karano pospolicie śmiercią. Nieraz sama administracja, nie mogąc sobie dać rady z więźniami, wzywała pomocy takich naczelników, którzy wspierając ją, uzyskiwali za to rozmaite przywileje, dostawali lepszą strawę, mniej musieli pracować i t. p.

Pomiędzy kamorzystami byli tēż i inni zbrodniarze, nie należący do związku, ci poddać się musieli prawom przez naczelnika więzienia przepisany. Opór był daremny. Kto się jako więzień dostał między kamorzystów zostawał ich niewolnikiem. Musiał na wszystko mieć ich pozwolenie, musiał robić, co mu kazali, a jeśli się ośmielił opierać, dokuczano mu w tysiączny sposób, póki nie uległ. Zbyt popędliwi, a nieugięci ginęli zwykle od sztyletów albo noży. Tych nie wolno było posiadać bez pozwolenia naczelnika, który sam zwykle trzy miewał doskonale ukryte.

Częste pomiędzy więźniami spory rozstrzygały się nieraz nożami. Wtedy naturalnie szukali dozorcę tych najniebezpieczniejszych i dla nich narzędzi, ale choć znaleźli, wkrótce znowu się znalazły nowe. Na zamku kapuańskim w Neapolu, zwanym Wikaryą, gdzie zwykle więziono znaczną liczbę kamorzystów, był także oddział osobny dla więźniów politycznych. Pewnego dnia, za rządów jeszcze Franciszka II, przyprawiono wskazanych za przestępstwa polityczne Michała Persico i barona Poerio. Zaledwie weszli w dziedziniec więzienny, zbliżył się do nich jeden z kamorzystów i z ukłonem ofiarował obudwom sztylety, mówiąc: weźmijcie excellencye, upoważniamy was do noszenia broni. W tēm samym więzieniu siedzieli z kolei wielu znakomitych kamorzystów, którzy surowo przestrzegali zwyczajów towarzystwa. Między innymi był i ten, że przed obrazem Madonny znajdującym się w jednej z sal więzienia palili dzień i noc lampkę oliwą nalaną. Na tę oliwę składali się sami więźniowie. Skoro tylko wszedł między nich nowy towarzysz, przystępował jeden i żądał kilku groszy na światło dla Madonny. Zwyczaj ten we Włoszech powszechny, oburza nas przecież u złoźczyńców, którzy lubo ciemni, robią to jednak ze świadomością, że robią bezece, skoro i ten zachowują zwyczaj, że przed spełnieniem jakiegobądź występkę zasłaniają święty obraz Madonny, jeśli się w bliskości znajduje.

Dla bogatszych a wykształceńszych więźniów byli kamorzyści zwykle uprzejmi, dla biednych za to a ciemnych nielitościwi. Zajęciami ich ulubionymi były gry o pieniądze, mianowicie w mora, zwane po neapolitańsku *tocco*, do czego potrzeba było tylko palety i głosu, rzadziej zaś grywali w kości i karty. Za to ciągły prawie między sobą prowadzili handelek, sprzedając sobie wzajem odzież, strawę, chleb, wino i t. p. rzeczy, w czēm naturalnie i dozorcę skryty brali udział, zyskując nie mało. Za pieniądze kupowali sobie cygara, wino i różne względy u dozorców lub złych towarzyszów. Spólników tych nadużyć pomiędzy urzędnikami nie wydawali prawie nigdy, woleli sami kary ponosić. Takie było życie kamorzystów po więzieniach, taka ich solidarność i organizacja. (Dokończenie nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

(Cześć wieszczom.) Pod tym napisem zamieszcza Gaz. Narodowa następującą odezwę:

„Myśl postawienia pomnika Mickiewiczowi poruszona we Lwowie, podczas pobytu Karola Libelta w naszym mieście rozszerzyła się wkrótce do większych rozmiarów: zamierzono postawić u stóp Wawelu już nie samotny posąg Adama, ale trzy pomniki w jedną ułożone grupę, a przedstawiające trójcę naszych wieszczów pierwszego rzędu: Mickiewicza, Krasińskiego iłowackiego. Na dochód tego przedsięwzięcia Karól Libelt pozwolił wydać trzy najpiękniejsze rozprawy swoje: „O odwadze cywilnej.“ „O miłości ojczyzny“ i „O wychowaniu ludów.“ Wydano także odezwę do Polek, którą poniżej przytaczamy, a która wzywa kobiety nasze, do zbierania niepotrzebnych kawałków kruszcza, z których stopienia powstanie spiż, jako materyał dla posągów. Podstawą ich ma być granitowa.

Następujące panie we Lwowie utworzyły już komitet do zbierania i składania takich kawałków kruszcza: Balutowska, Baczewska, Berliner, Dąbrowska, Feiles, Höningmann, Losch, Rieger, Mises, Schmitt, Smolkówna, panna Wasilewska i Weichert.

Sądźmy, że myśl ta znajdzie echo w najdalszym zakątku serc naszych. Cześć dla wieszczów, którzy w długiej nocy nieszczęść naszych świecą nam jak trzy gwiazdy, gruby zmierzch nocny rozpraszające i będące zarazem drogokazami niebieskimi, wpojono w nas jeszcze z paciierzem dziecięcym i z modlitwą za ojczyznę. Dzisiaj ta cześć znajdzie pole dla swego wynurzenia się w czynie.

Odezwa do Polek!

Zacne i bohaterskie Towarzyszki niedoli naszej! Szlachetne serca Wasze wtajemniczyły Was w nasze boleści, odsłoniły przed Wami cały ogrom cierpień drogię nam ojczyzny; — a duch czasu, wykształcenie umysłowe i moralne wskazało Wam nowe stanowisko, rozwinęło w Was pojęcie naszego położenia i naszych potrzeb, uczyniło Was uczestniczkami naszych prac, naszej wiary i naszych błogich nadziei.

Dla tego też, ile razy przychylnie błysnie nam światło, ile razy w omdlałym narodzie wyższe zadrgnie tętno, zawsze i wszędzie widzimy Was przy naszym boku: tklive, rozważne i czynne — jaśniejące i cnotą kobiety i odwagą męża.

Przywykliż zatem do tego świętego współnictwa żywota, nie czujemy się w całości siły i prawa, tylko wtedy gdy jesteśmy z Wami — żadnego nie chcemy przedsięwziąć dzieła, nie odezwały się do Was — nie szukając Waszj pomocy.

Czynimy zaś to w tej chwili z tém większym zadowoleniem, z tém większą otuchą, że przedmiot powyższej odezwy jest równie szczytny, jak brzemienny w poważne następstwa — równie przemawiający do serca, jak odpowiedni słusności i interesowi kraju, a zatem zdolny rozplomić Waszego ducha i wywołać to żarliwe zajęcie, jakiego przy Waszym współdziałaniu z pewnością sobie obiecujemy.

Doszła Was wieść zapewne, że tulaż, że męczennik, że ten, co w duszy swj odwiecił i rozwinął piękno utkwione w narodzie, co streścił w sercu jego katusze, co bronił jego praw i rzucał klątwę na jego dzikich pogwałcicieli, co otoczył młodość Waszą wdziękiem i kwieciami, a niepewstrzymanym potokiem lał na Was miłość ojczyzny — że wieszcz i poeta nieśmiertelny, że jedynym słowem, nasz Adam, ma spocząć tam, gdzie niegdyś królów składano — na górze dawniej naszej sławy — dziś naszej Kalwaryi — na Wawelu.

Na ziemi zlanj krwią tylu ofiar roztworzy się jeden jeszcze grób, w którym złożyć nam przyjdzie nasze relikwie — jeszcze jedna stania skarbnica w grodzie świetnych i bolesnych pamiątek, co błyszcząc poświęceniem i chwałą z przeszłości, przyswiecać będzie pochodowi nowych pokoleń.

Ze pospieszycie na spotkanie wieszca, a laurem wienoząc jego popioły, odświeżycie je łzą żalu i chórem zanucicj jego sławę — o tém nie wátpimy.

Lecz nie tu jest granica obowiązku, jaki względem niego spełnić nam wypada. Listek, co wędnie — łza co wysycha i pieśń, co kona wraz z drganiem powietrza, nie jest wszystkiem, cośmy winni takim świętościom.

Pamięć Adama winna pozostać nieśmiertelną, jak nieśmiertelne są jego dzieła, jak nieograniczoną jest wdzięczność narodu. Otóż aby ją taką uczynić, w pomnik ją przelać należy.

Niechaj pogromcy ludzkości leją ze spiżu narzędzia, co śmierć roznoszą; my żeń wylejem takie, co życie w odległe przemiesie wieki.

I komuż to dzieło unieśmiertelnienia z prawa się należy,

jeśli nie Wam, zacne Towarzyszki! Wam, których naturą jest miłość, a duszą poświęcenie — Wam, z których łona płynie życie, a których ręka krwią się nie kala?

Wam też je z serca poruczamy — zbierajcie niespożyty kruszec, wzniescie żeń pomnik naszemu Adamowi, któryby świadczył nietylko o jego wielkości i zasłudze, ale żeby zaniósł potomności tę dobrą nowinę, że to Wasze dzieło — że odkąd Wy wchodzicie jako czynnik w życie narodu, nowa się dlań rozpoczyna era — era miłości i pokoju, harmonii i tkliwych pamiątek — zlanie żywota w jedną sieć nieśmiertelną.

Wzywając Was do spełnienia tego szlachetnego obowiązku, nie możemy przecie zataić uczucia, które — jesteście pewni i w Waszém odzywają się sercu.

Naród jest Ojcem i Matką wszystkich swych dzieci, które zarówno kocha, a jeśli mu jedno z nich wyszczególnić przyjdzie, jeśli je wyższą opromieni chwałą i pamięci następnych przekaże wieków, skrzętnie wpatruje się w zasługi innych, waży na szali słusności ich wartość, by każdemu stósowną naznaczyć nagrodę.

Wielką zaiste jest postać twórcy Walleń roda i głową wyściga wszystkie inne, lecz kiedy spokojném okiem pociągniem po drodze poświęceń — gdy wejdzien w dziedzinę twórczego ducha — z chlubą wyrzec nam wypada, że go tam nie widzimy samego.

Oprócz wielu innych, obok niego stoją, jakby synowie obok swego Ojca: Zygmunt Krasiński i Juliuszłowacki. I nieodrodne to dzieci, jeśli ich dziećmi jego nazwać przystoi.

Bo kiedy Adam chłonie w siebie świat społeczny, boleje cierpieniem swojej generacyi, maluje straszne sceny, w oczach jego dokonane — wywołuje zgrozę i pielgrzymim krokiem zdąża za gwiazdą nadziei — Zygmunt zstępuje w oczyste groby, unosi z nich wszystkie świętości — wydiera śmierć i krasii życiem to wszystko, co wielkie i piękne i różczką oliwną je splata. Juliusz ufnj w potęgę swego geniuszu, wszystko nowe stworzyć pragnie — w niewstrzymanym pędzie mija z pogardą krainy pamiątek, potracą obecność, inny świat odsłania i jak orzeł w beżmiernj przestrzeni w przyszłości się topi. Przeszłość, terażniejszość i przyszłość, te trzy epoki w naszym narodzie podchwycili i szczytnie oddali Mickiewicz — Krasiński —łowacki.

W nich tylko razem wziętych, jest całość obrazu. W nich razem wziętych błyszczą ta historyczna prawda i jakoby nic tajemnicza wiedzie swój wątek zżapadłych wieków; nikt nie błyskawicą po terażniejszości i sięga w nieznanne przestwory przyszłości, której wrota geniusz człowieczy roztwiera.

Spojeni przeto jednością ducha i przedmiotu — ogrzani jedynym płomieniem — opromieni jedną, choć może niezupełnie jednakową chwałą za życia — po śmierci na jednym winni stanąć piedestalu. W jednym posagu odlać należy tę piękną wieszczów naszych trójcę — bo przez nią, jak przez mistyczny trójkąt Ojczyzna nasza przegłąda.

Wasze to dzieło Polki nasze! Zestrzelcie serca i usiłowania w jedno ognisko — w trzech grodach, w których działanie Wasze jest jeszcze możebne: we Lwowie, Krakowie i Poznaniu, załóżcie główne siedliska pracy Waszj — składajcie materyał — wołajcie, by wam go zewsząd starczono, a my wam przyjdziemy w pomoc tém wszystkiem, co patriotyzm zdobyć potrafi.

Trzy świetne rozprawy znanego Wam męża Karola Libelta: „O miłości Ojczyzny — O odwadze cywilnej i O wychowaniu ludów“ do druku na ten cel oddane zostały.

Resztę dopełni Opatrzność i Wasze poświęcenie.“

Szarada.

Czy mi wpród czy wspank iść każesz,
Nic innego nie dokażesz,
Zawszem straszny, zawsze groźny,
Bo jednak wodonosny,
W mojej pierwszj woda płynie,
A więc łatwo się uczynię
Moja druga to me hasło,
Jeżeli chcę, by życie zgasło.

(Rozwiązanie szarady w nr. 37: *Ulewa*.)

PUSZKA DO LISTOW.

Panu J. K. B. w Śr. Dziękujemy. — Panu Odrzychowi w Bydgu: Życzliwość Pańską wysoko sobie szacujemy, ale trzeba nam się będzie wprzódy dobrać porozumieć. — Panu P. St. w Lwowie: Liczymy na obietnicę. — Panu Ludw. H. w K. — Oczekujemy. — Panu Dan. w Chełmie: Mimo najszczerzej chęci nie mogliśmy zamieścić.

Od Redakcyi.

Przy nadchodzącym kwartale czwartym upraszamy Szanownych Abonentów „Sobótki“ o wczesne odnowienie przedpłaty na kwartał następujący.